

James Tiptree, Jr
Człowiek który szedł do domu

Wtargnięcie! Przerazenie!
Rzucony, zagubiony, wbity w
niemożliwość,
porzucony w nigdy nie wyjaśniony
sposób, niewłaściwy człowiek w
najbardziej niewłaściwym z
niewłaściwych miejsc, ofiara
niewyobrażalnej
awarii mechanizmu nie do
odtworzenia - rozbitek, straceniec z
przeciętą
linią życia, on w owej nanosekundzie
świadom, że traci ostatnią deskę
ratunku, że mu ona umyka, że ucieka
najdłuższa nić łącząca go z życiem, że
to jej ostatni przebłysk, że mu się na
zawsze wysuwa z ręki - że się przed
nim cofa i kurczy, i ginie wchłonięta
w wir, poza którym -jego dom, jego

**życie, jedyna możliwość egzystencji,
a on widzi, jak ją wsysa w najgłębszą
przepaść, jak ta nie topnieje, jak go
pozostawia, sierotę, na jakimś
nieznanym brzegu całkowitej
niewłaściwości - piękna poza wszelką
radością,**

**być może? Potworności? Nicości?
Najgłębszej inności jedynie? A jednak
czymkolwiek jest to miejsce, w które
wtargnął, nie sprzyja ono jego życiu,
podtrzymaniu tego życia, jego
gwałtownej i gwałcącej obecności; a on,
zawzięty, odważny, szalony -
zaciśnięty w jeden wielki protest,
ciało-pięść, bezwzględne
zaprzeczenie własnej obecności tu w tym
miejscu,**

**on, zapomniany, tutaj - cóż robił?
Odrzucony, wygnany, stęskniony za
domem, zdecydowany bardziej niż
jakikolwiek zagubione zwierzę w swej**

**wędrowce ku nieosiągalnemu
gniazdu - spragniony domu, SWEGO
DOMU - bez**

**żadnych możliwości, bez środka
transportu, bez pojazdu, bez
mechanizmu,**

**bez jakiejkolwiek siły napędowej,
poza przemożnym imperatywem
skierowanym**

**ku domowi wzdłuż tego zanikającego
wektora, tej ostatniej i jedynej nici
życia - cóż on takiego robił?**

Szedł.

Do domu.

**Nigdy nie dowiedziano się
właściwie, co dokładnie zakłóciło prace
największego zakładu
przemysłowego w Bonneville, Idaho,
wykorzystującego**

**Urządzenie do Przyspieszania
Cząstek Elementarnych. Czy może
raczej ci**

**wszyscy, którzy mogliby rzucić
światło na istota tych pierwotnych
zakłóceń, po prostu zostali zmieceni z
powierzchni ziemi niemal
natychmiast w jeszcze większej
katastrofie, jaka nastąpiła wkrótce
potem.**

**Początkowo nie rozumiano natury
i tego drugiego kataklizmu. Ponad
wszelką wątpliwość udało się ustalić
jedynie, że o 1153.6 drugiego maja
1989 roku Starego Stylu laboratoria
Bonneville wraz z całym personelem**

**zostały zamienione w gruntownie
rozdrobnioną formę materii
przypominającą**

**plazmę wysokiej energii i gwałtownie
uniesione w powietrze przy**

**akompaniamencie zjawisk
sejsmicznych i atmosferycznych o
charakterze**

promieniotwórczym.

**Pech chciał, że na dotkniętym
kataklizmem terenie znajdował się
pocisk**

wielogłowicowy.

**Wśród wywołanego tymi
wypadkami zamieszania w ciągu kilku
nastopnych**

**godzin w znaczny sposób zmniejszyła
się liczebność populacji ziemskiej,**

**zaszły zmiany w biosferze, a
powierzchnia ziemi została poznaczona**

**licznymi kraterami typu bardziej
konwencjonalnego. Przez wiele lat po
tych**

wydarzeniach ci, którzy przeżyli, byli pochłonięci problemami natury bytowej, a charakterystyczny obłok pyłu, jaki zawisł nad Bonneville, rozpływał się powoli w zmiennych cyklach atmosferycznych.

Nie był to krater wielki; miał może ponad kilometr średnicy i brakło mu typowej dla podobnych utworów geologicznych krawędzi. Powierzchnia krateru była pokryta bardzo miłąką substancją, która wyschła na pył. Przed sezonem deszczów teren był prawie idealnie gładki. I tylko przy pewnym oświetleniu, gdyby ktoś się pokusił o dokładniejsze zbadanie tego miejsca - można by dostrzec niemal dokładnie w samym środku maleńką skazę czy zadrapanie.

W dwadzieścia lat po kataklizmie przybyła tam z południa grupa

niskich, brunatnych ludzi wraz ze stadem dość osobliwych owiec. Krater w tym czasie przybrał postać rozległego, płytkiego zagłębienia, w którym

niechętnie rosła trawa, a to zapewne z powodu niemal całkowitego braku mikroorganizmów w glebie. Ani ten fakt jednak, ani trawa bujnie rosnąca dookoła, nie przeszkadzały owcom.

Przy południowym brzegu krateru wyrosło

kilka prymitywnych szalasów, a przez samo zagłębienie, omijając łyse miejsce w środku, zaczęła się przedzierać ledwie widoczna ścieżka.

Pewnego wiosennego poranka dwójka dzieci pędzących owce przez krater

wróciła z krzykiem do osady. Przed samym nosem wyskoczył im z ziemi, rycząc straszliwie, potwór, wielkie, płaskie zwierzę, które następnie

**znikło wśród błysku i trzęsienia
ziemi pozostawiając przykry smród.**

Owce

uciekły.

**Ponieważ to ostatnie było w sposób
oczywisty zgodne z prawdą, kilkoro**

**dorosłych postanowiło zbadać
sprawę. Nie znalazłszy jednak ani
potwora,**

**ani miejsca jego ukrycia, zbili dzieci,
które z kolei jęły omijać to**

**miejsce, i na czas jakiś zapanował
spokój.**

**Następnej wiosny historia się
powtórzyła. Tym razem wśród dzieci
była**

**starsza dziewczynka, która jednak
nie potrafiła dodać nic więcej ponad to,**

**że potwór leciał równolegle do
powierzchni ziemi i że nie wykonywał**

**żadnych ruchów. No i że pośrodku
był wymieciony piasek. Ale znów nic nie**

**znaleziono, więc w rozwidlonym kiju
zatknięto specjalny znak od uroku, i
na tym stanęło.**

**Kiedy w rok później to samo
wydarzyło się po raz trzeci, zaczęło
szerszym łukiem obchodzić to
miejsce i dołożono odczyniających
znaków.**

**Ponieważ sprawa nie miała żadnych
złych skutków, a brunatni ludzie
widzieli rzeczy znacznie gorsze,
spokojnie podjęto wypas owiec.**

Zanotowano

**jeszcze kilka błyskawicznych
pojawień się potwora, za każdym razem
wiosną.**

**Pod koniec trzeciego
dziesięciolecia nowej ery przykuśtykał z
gór, od**

**strony południa, wysoki stary
mężczyzna, który pchał swoje
zawiniątko**

przytwierdzone do koła rowerowego. Rozłożył się obozem po drugiej stronie krateru i bardzo szybko znalazł miejsce potwora. Usiłował dowiedzieć się czegoś na ten temat od miejscowej ludności, ale nikt go nie rozumiał, więc prehandlował tylko nóż za kawałek mięsa. Wydawał się wyraźnie słabszy od innych, ale było w nim coś, co im nie pozwoliło go zabić. Okazało się to słuszne, ponieważ pomógł później kobietom w wyleczeniu kilkorga chorych dzieci.

Wiele czasu spędzał koło miejsca potwora i nawet był świadkiem jego kolejnego pojawienia się. Podniecony tym faktem zrobił kilka niezrozumiałych, ale najwyraźniej nieszkodliwych rzeczy, jak na przykład to, że przeniósł swoje obozowisko na teren samego krateru w pobliże szlaku. Pozostał tam przez cały rok obserwując to miejsce i trzymając się

blisko w oczekiwaniu następnego ukazania się zjawy. Spędził potem kilka dni przygotowując kamień od uroku, który tam pozostawił, po czym, kuśtykając odszedł na północ, tak jak przyszedł.

Minęło znów kilka dziesięcioleci. Nastąpiła, erozja krateru i szczelina wyplukana przez deszcze po jednej stronie zagłębienia zamieniła się w sezonowy strumyk. Brunatnych osadników z ich owcami napadła banda porośniętych srebrzystym włosem ludzi; niedobitki uszły na wschód. Zimy tam, gdzie było Idaho, stały się bezmroźne; na wilgotnej równinie wystrzeliły z ziemi osiki i eukaliptusy, Krater jednak dalej pozostał

bezdrzewy-płaska czasza porośnięta trawą z łysym miejscem pośrodku.

Niebo

przejaśniło się nieco.

**Minęły jeszcze trzy dziesięciolecia i
pojawiła się większa gromada
czarnych ludzi z wozami
zaprzężonymi w woły. Po pewnym czasie
jednak i oni**

**się wynieśli, kiedy zobaczyli
piorunowego potwora. Potem jeszcze
kilku**

włóczęgów zabłądziło w te strony.

**W pięćdziesiąt lat później na
stokach pobliskich wzgórz wyrosła
niewielka, stała osada; jej
mieszkańcy jeździli na małych konikach
z**

**ciemną pręgą wzdłuż grzbietu i
wypasali w pobliżu krateru garbate
bydło.**

**Nad strumieniem stanęła chata
pasterska, która po jakimś czasie dała
schronienie rodzinie rudowłosych
ludzi o oliwkowej cerze. W stosownym
momencie jeden z nich zobaczył
potwora-błysk; ale klan mimo to się nie**

wyniósł. Kamień położony przez
wysokiego mężczyznę zauważono i
zostawiono
w spokoju.

Obejście na skraju krateru
rozrosło się do rozmiarów osady liczącej
trzy domostwa, do których z czasem
dołączyły inne, a wiodący tamtędy szlak
zamienił się w drogo dla wozów z
przerzuconym przez strumień balem w
charakterze mostka. W samym
środku ledwie już teraz widocznego
krateru

droga skracała, omijając polać trawy
z kawałkiem dziwnie ubitej gołej
ziemi wielkości około metra
kwadratowego z głęboko rytym
piaskowcem.

Wiadomo już było powszechnie, że
potwór ukazuje się co wiosnę
określonego ranka w tym właśnie
miejscu, i wioskowe dzieci prowokowały
się

nawzajem do tego, żeby podchodzić doń jak najbliżej. Zjawisko określono mianem "Starego Smoka".

Pojawianie się Starego Smoka wyglądało za każdym

razem tak samo: krótki, gwałtowny grzmot, a pośród tego, na pozór miotając

się wściekle, w rzeczywistości zaś nie ruszając się wcale ukazywał się

podobny do smoka stwór. Zawsze zostawał potem paskudny fetor i przez jakiś

czas kurzyło się z ziemi. Ci, w byli blisko, mówili nawet, że odczuwali jakieś drgania.

Mniej więcej na początku drugiego wieku przyjechało do miasta z

północy dwóch młodych mężczyzn. Ich konie były bardziej kudłate od

miejscowych, a w bagażach mieli dwa podobne do skrzynek przedmioty, które

**umieścili na miejscu potwora.
Pozostali na cały rok, byli świadkami
dwóch**

**pojawień się Starego Smoka i za ich
sprawą przybyły w okolicy różne
nowinki, jak mapy dróg czy miast
handlowych w chłodniejszych rejonach
na**

**północy. Zbudowali też wiatrak,
który zaakceptowano, i zaproponowali
budowę maszyny oświetleniowej, co
miejscowa społeczność odrzuciła. Po
czym**

**wynieśli się ze swoimi pudłami nie
zdoławszy namówić nikogo z tutejszych,
żeby się nauczył je obsługiwać.**

**W ciągu nastopnych dziesięcioleci
zatrzymywali się tu i inni**

**podróżnicy dziwując się potworowi,
a od czasu do czasu wybuchały też walki
o położenie na południu góry. Jedna
ze zbrojnych band zrobiła najazd na**

**osado w kraterze usiłując
uprowadzić bydło. Napastnicy zostali
wprawdzie**

**odparci, pozostawili jednak po sobie
plamistą zarazo, która wielu położyła
trupem. Przez cały ten czas miejsce
pośrodku krateru pozostawało gołe i
potwór ukazywał się regularnie, czy
go kto widział, czy nie.**

**Górskie miasto rozwijało się i
zmieniało, a wioska na kraterze
rozrosła się do rozmiarów
miasteczka. Drogi poszerzyły się i
połączyły w**

**sieci. Wzgórza porastały teraz
szarozielone drzewa iglaste, które
schodziły aż na równino, a w ich
gałęziach żyły świergotliwe jaszczurki.**

**Pod koniec stulecia od strony
zachodu pojawiła się obszarpana banda
odzianych w skóry osadników ze
skarłowaciałym bydłem. Zostali oni**

ostatecznie częściowo wybici, a częściowo odparci, zdążyli jednak przedtem

zarazić miejscowe bydło jakimś złośliwym pasożytem. Sprowadzeni z północy,

z miasta, weterynarze okazali się bezradni. Rodziny zamieszkujące obszary

położone najbliżej krateru powynosiły się i przez kilka dziesięcioleci teren pozostawał wyludniony.

Wreszcie na równinie pojawiło się bydło nowej

rasy, a osada w kraterze została od nowa zasiedlona. W gołym miejscu dalej

pojawiał się potwór, zaakceptowany już teraz jako miejscowa atrakcja. Od

czasu do czasu przyjeżdżali przedstawiciele Północno-Zachodniego Ośrodka

Administracyjnego.

Osada w kraterze rozkwitła polami, na których pasło się bydło, a w części starego krateru założono park miejski. Rozwinął się niewielki sezonowy przemysł turystyczny z ośrodkiem wokół miejsca ukazywania się

potwora. Mieszkańcy miasteczka wynajmowali w sezonie pokoje, a w miejscowych gospodach można było oglądać mniej czy bardziej autentyczne rekwizyty związane z potworem.

Obrósł on nawet w pewne kultury. Według jednego z nich był to szatan czy też dusza potopiona zmuszona ukazywać się na ziemi w moce jako akt ekspiacji za katastrofa sprzed dwóch wieków. Inni wierzyli, że to, czy też on, to rodzaj posłańca, który swoim rykiem zwiastuje nieszczęście lub nadzieję w zależności od przekonań wyznawcy.

Jedna z wymowniejszych sekt głosiła, że zjawia przez cały rok dokładnie

**ocenia ludzkie czyny i pilnie
obserwuje wszelkie zmiany w kolejnych
pojawieniach się interpretując je na
dobre albo na złe. Znalezienie się na
przykład w zasięgu pyłu wzbitego
przez potwora mogło być zarówno
dowodem**

**szczęścia, jaki pecha. W każdym
pokoleniu był co najmniej jeden
chłopak,**

**który próbował uderzyć potwora
kijem, z czego zwykle wynosił złamaną
roku**

**i historio do opowiadania po
knajpach na całe-życie. Rzucanie do
zjawy**

**kamieniami czy innymi
przedmiotami stało się popularnym
sportem, przez**

**wiele też lat zanoszono do niej modły
i kwiaty. Kiedy grupa ludzi**

**usiłowała złapać ją w sieć - pozostały
im tylko porwane sznury i odór.**

Samo miejsce w centrum parku już dawno starannie ogrodzono.

I przez cały ten czas zjawia ukazywała się regularnie co roku, nagle i tajemniczo, rozpostarta w swym wściekłym bezruchu, niedostępnie rycząca.

Dopiero kiedy minął czwarty wiek nowej epoki, stało się oczywiste, że w potworze zachodzą pewne niewielkie zmiany. Nie leżał już teraz na ziemi;

z nogą i ręką wyrzuconymi w górę wyglądał, jak gdyby kopał lub młócił. Z upływem lat zmieniał się coraz szybciej, aż pod koniec stulecia przybrał skuloną, wykrzywioną pozę, z wyciągniętymi w górę ramionami, jakby zastygł

w ruchu obrotowym. Nawet jego ryk nabrał innej tonacji, a z ziemi po jego zniknięciu dymiło się coraz bardziej.

**Był to okres, w którym uważano,
że człeko-potwór zamierza coś zrobić,
coś w sposób wyraźny
zamanifestować. Tę doktrynę, głoszoną
przez dość**

**potężną sektę, podtrzymywała seria
kataklizmów i dziwów. Kilku
przywódców**

**religijnych wybrało się do miasta,
żeby być świadkami pojawienia się
potwora.**

**Mijały jednak dziesięciolecia i
potwór nie robił nic innego poza tym,
że obracał się wolno w miejscu,
zsuwał się czy gramolił, jednocześnie
odchylając się do tyłu, jakby opierał
się gwałtownej wichurze. Ale
oczywiście nie było żadnego wiatru,
klimat stał się łagodniejszy i nic
więcej z tego nie wynikało.**

**Na początku piątego wieku według
Nowego Kalendarza przybyły trzy ekipy**

pomiarowe z Północnego Ośrodka Administracyjnego i zatrzymały się, żeby

poobserwować potwora.

Zainstalowano na stałe aparaturę rejestrującą, zapewniwszy uprzednio miejscową ludność, że nie ma to nic wspólnego z naukami ścisłymi.

Przyuczono jednego z miejscowych chłopaków do obsługi tych urządzeń, ale rzuciła go dziewczyna, więc odszedł. Na jego miejsce zgłosił się następny.

W tym czasie już niemal wszyscy wierzyli, że zjawą jest człowiekiem albo duchem człowieka. Chłopak obsługujący aparaturę i paru innych, wśród nich

nauczyciel mechaniki ze szkoły, mówili o nim Ten Człowiek John. W ciągu

następnych dziesięcioleci stan dróg poprawił się znacznie; rozwinęły się

różne formy podróżowania i zaczęto mówić o budowie kanału, który miał połączyć okolice z tym, co zyskało nazwę Snake River.

Pewnego majowego poranka pod koniec wieku piątego nadjechała młoda para z południowego zachodu, od strony Sandreas Rift Ranga w zgrabnym ciągnionym przez muły wózku. Dziewczyna miała złocisty kolor skóry i gwarzyła ze swoim młodym mężem w języku nie przypominającym żadnego z

tych, które słyszał Ten John czy to na końcu, czy też na początku swego

**życia. Ale to, co do niego
powiedziała, słyszano w każdym języku i
w**

każdej epoce.

**- Och, Serli, jakże się cieszę, że
wyruszamy w te podróz właśnie
teraz, w lecie bada przecież zajęta
przy dziecku.**

**Serli odpowiedział na to, jak
zwykli odpowiadać młodzi mężowie i
razem**

**udali się do miejscowej gospody.
Zostawili wózek oraz bagaże i poszli
szukać jej wuja, który miał tu na
nich czekać. Nazajutrz jak co roku
wypadał dzień ukazania się Tego
Johna. Wuj Laban przybył z Muzeum
Historycznego Mackenzie, żeby się
przyjrzeć temu zjawisku i poczynić
pewne
przygotowania.**

**Znaleźli go w towarzystwie
nauczyciela mechaniki z miejscowej
szkoły,**

**który stanowił jednocześnie obsługę
aparatury rejestrującej. Wuj Laban
wziął ich wszystkich ze sobą do
burmistrza na spotkanie z różnymi
duchownymi osobistościami.**

**Burmistrz, choć świadom turystycznych
walorów**

**całej sprawy, sto poparł jednak wuja
Labana, który wraz z sekciarzami
niezbyt chętnie opowiedział się za
reprezentowaną przez władze
Mackenzie**

**świecką interpretacją zjawiska, co
okazało się tym łatwiejsze, że nie było
wśród nich zgody. Następnie widząc
jak urodziwa jest siostrzenica,
burmistrz zaprosił wszystkich do
siebie na kolację.**

**Kiedy wrócili na noc, w gospodzie
aż huczało od świętujących.**

**- Phi! - powiedział wuj Laban. -
Zaschło mi w gardle od gadania córko
mojej siostry. Serb, chłopcze, wiem,
że masz wiele pytań. Pozwól, że ci
podsunę coś do czytania; oto
przewodnik, który tu sprzedajemy.**

Jutro

**porozmawiamy. - I zniknął w
zatłoczonej gospodzie.**

**Tak więc Serli i jego młoda żona
wzięli ze sobą broszurkę na górę do
łóżka, ale dopiero nazajutrz rano
przy śniadaniu mieli czas ją poczytać.**

**- Wszystko, co wiemy o Johnie
Delgario - czytał Serli z pełnymi ustami
- pochodzi z dwóch dokumentów
pozostawionych przez jego brata Carla
Delgano w archiwach Grupy
Mackenzie we wczesnych latach po
kataklizmie.**

**Mira, kochanie, posmaruj mi to
ciasto miodem. Oto dokładny zapis
relacji**

Carla Delgano:

Nie jestem inżynierem ani astronautą, jak John. Prowadziłem w Salt

Lake City warsztat naprawy urządzeń elektronicznych. John przeszedł

przeszkolenie jako kosmonauta, ale nigdy nie był w przestrzeni kosmicznej;

wszystko pokrzyżowała recesja gospodarcza. Przystał więc do spółki; która

dzierżawiła część Bonneville; potrzebowali faceta do jakichś prób z wysoką

próżnią; i to jest wszystko, co na ten temat wiedziałem. John z żoną

przenieśli się do Bonneville, ale kilka razy do roku spotykaliśmy się

wszyscy razem, bo nasze żony były jak siostry. John miał dwójkę dzieci, Klarę i Paula.

Próby miały być tajne, ale John zwierzył mi się w zaufaniu, że chodzi im o komora antygravitacyjną, nie wiem jednak, czy im cokolwiek z tego wyszło. To było rok wcześniej.

A potem zimą przyjechali na Gwiazdkę i John powiedział, że robią coś

nowego, był naprawdę podniecony. Nazywał to przesunięciem czasowym; w każdym razie byty to jakieś igraszki z czasem. Powiedział, że ten ich głównymacher to prawdziwy zwariowany profesor. Miał wielkie plany. Za

każdym razem, jak się jakiś inny program nie powiódł i zostawał wolny sprzęt, wykorzystywał go u siebie. Nie, nie wiem, kto za tym stał, może jakieś towarzystwo ubezpieczeniowe, to w końcu oni mają największą forsa.

Tacy by sobie chętnie zajrzeli w przyszłość, to się trzyma kupy. W każdym

razie John był strasznie napalony. Katherine była przerażona, co jest zrozumiale. Wyobrażała go sobie jako H.G. Wellsa spacerującego po jakimś

świecie przyszłości. John zapewnił ją, że to nie będzie nic takiego. To ma

być tylko mgnienie oka, dosłownie sekunda czy dwie. Wszelkie możliwe komplikacje... Tak, tak, ty mały żarłoku, ja bym się też napił, bo język kołkiem mi stanie! No wiec...

Pomiatam, że go spytałem: a co z obrotami

Ziemi? Mógłbyś przecież trafić z powrotem w zupełnie inne miejsce, prawda?

Powiedział że wszystko to przewidzieli. To znaczy trajektorię kosmiczną.

Katherine była tak przerażona, że w ogóle przestaliśmy o tym mówić. John jej powiedział: Nie przejmuj się, na pewno wrócę do domu. Ale nie wrócił.

To zresztą przecież i tak nie miało żadnego znaczenia. Wszystko zostało zmiecione z powierzchni ziemi. Salt Lake też. Ja jestem tutaj tylko

dlatego, że pojechałem do Calgary, żeby się zobaczyć z matką, było to dwudziestego dziewiątego kwietnia.

A drugiego maja wszystko poszło! A was tutaj w Mackenzie odnalazłem dopiero w lipcu. Na dobrą sprawę mógłbym

właściwie tu zostać. I tyle tylko wiem o Johnie, poza tym, że byt to facet w porządku. Jeżeli ten wypadek stał się przyczyną wszystkiego, to na pewno nie była to jego wina.

Drugi dokument.. Na litość boską, mała mateczko, czy ja naprawdę musze

to wszystko czytać?! No już dobrze, dobrze, ale najpierw mnie pocałujesz, panienko. Czy ty musisz tak rozkosznie wyglądać? No wiec...

Drugi dokument. Datowanym rok osiemnasty, Nowego Stylu, spisany przez Carla... Widzisz to stare pismo, mój ty pulchny gołąbeczku. No już dobrze, dobrze.

Spisane w katedrze Bonneville. Widziałem mojego brata Johna Delgano.

Kiedy się dowiedziałem, że mam chorobę popromienną, przyjechałem tutaj,

żeby się rozejrzeć. Salt Lake dalej jest gorące, więc przywędrowałem tutaj do Bonneville. Widać jeszcze ten krater, gdzie były laboratoria; wszystko zarosło trawą. Ale to już co innego, to już nie jest radioaktywne, moja

klisza jest w porządku. Pośrodku zostało gołe miejsce. Kilku Indios

**powiedziało mi, że co roku na wiosna
pokazuje się tu potwór. Sam go**

**zobaczyłem w parę dni po przybyciu,
tylko że stałem za daleko, żeby dobrze**

**widzieć, ale jestem pewien, że to
człowiek. W kosmicznym skafandrze**

**próżniowym. Hałas i kurz - grom z
jasnego nieba. W sekundę było po**

**wszystkim. Musiało się to według
moich obliczeń dziać koło drugiego
maja,**

według Starego Stylu.

**Zostałem tam na cały rok i
wczoraj znów się ukazał. Tym razem
byłem od**

**"frontu" i przez szyba skafandra
zobaczyłem jego twarz. Tak, to był na**

**pewno John. Jest poraniony,
widziałem krew na jego ustach,**

skafander też

miał sfatygowany. Leży na ziemi.

Kiedy na niego patrzyłem, nie ruszał się,

ale obłok kurzu zawirował, jakby John ślizgał się na brzuchu nie wykonując

żadnych ruchów. Ma oczy otwarte, jakby patrzył. Nic z tego nie rozumiem, ale wiem, że to jest John, a nie żaden duch. Za każdym razem znajdował się dokładnie w tej samej pozycji i za każdym razem rozlegał się głośny grzmot

jak od pioruna, i drugi dźwięk przypominający syrenę, bardzo szybki. A

potem zapach ozonu i dym. I jakby mną coś wstrząsnęło.

Wiem; że to jest John, i przypuszczam, że żyje. No, czas na mnie, muszę to wszystko stąd zabrać, dopóki jeszcze mogę chodzić. Uważam, że

ktoś powinien tu przyjechać i to obejrzeć. Może moglibyście jakoś pomóc Johnowi.

Podpisano: Carl Delgano.

Te dokumenty były w posiadaniu Grupy z Mackenzie, ale minęło kilka

lat... itd., pierwszy światłodruk itd., archiwa, analizy itd. Wspaniale! A

teraz czas spotkać się z twoim wujkiem, mój ty pączku okrągłutki, tylko

jeszcze na chwilkę skoczymy na górę.

- Nie, Serli, poczekam na dole - odparła przezornie Mira.

Kiedy przyszli do parku miejskiego, wuj Laban kierował właśnie instalowaniem wielkiej diorytowej płyty przed ogrodzeniem otaczającym

**miejsce pojawienia się Tego Johna.
Płyta była przykryta wielką
płachtą i czekała na oficjalne
odsłonięcie. Mieszkańcy miasta,
turyści i dzieci wypełnili tłumnie
ścieżki, a chór Dobrej Woli śpiewał
w muszli koncertowej. Robiło się coraz
cieplej. Handlarze zachwalali lody,
słomiane figurki przedstawiające
potwora, kwiaty i specjalne konfetti,
które rzucano od uroku. W pobliżu
stali przedstawiciele innej grupy
religijnej w ciemnych habitach; ci
należeli do Kościoła Pokutnego spoza
terenu parku. Ich pastor patrzył
spode łba na tłum w ogóle, a na wuja
Miry w szczególności.**

**Trzej oficjalnie wyglądający
przybysze, którzy się zatrzymali w
gospodzie, podeszli do wuja Labana i
powiedzieli, że są przedstawicielami
Centralnych Władz Alberty. Weszli
do namiotu wzniesionego nad całym**

ogrodzonym terenem; mieli ze sobą sprzęt, który ludność miejscowa odprowadzała podejrzliwym wzrokiem.

Nauczyciel mechaniki skończył organizować grupę studentów, którym powierzono opiekę nad zasłoną okrywającą płytę i Mira, Serli oraz wuj Laban weszli do namiotu. Wewnątrz było znacznie goręcej. Wokół ogrodzonego

poręczami placyku średnicy około dwudziestu stóp poustawiano ławki. W samym środku ziemia była goła i zagrabiona. O poręczach poopierano bukiety

kwiatów i kwitnące gałęzie poincjany. W samym środku znajdował się tylko

nie ociosany głaz z piaskowca z wyrytymi znakami.

Kiedy weszli, przebiegła właśnie przez sam środek kręgu mała

**dziewczynka, na którą wszyscy
pokrzykiwali. Urzędowa delegacja z
Alberty**

**była zajęta po jednej stronie
ogrodzenia, gdzie ustawiano właśnie
aparat**

światłodrukowy.

**- O, nie - mruknął wuj Miry, kiedy
jeden z oficjeli wychylił się przez**

**poręcz, żeby ustawić wewnątrz
trójnog. Wyregulował go i w samym
środku**

**kręgu trysnęła nagle, przelewając się
na zewnątrz, fontanna cieniutkich**

**pierzastych włókienek. - Och, nie
powtórzył wuj Laban. - Dlaczego nie
zostawią go w spokoju?**

**- Oni pewnie chcą pobrać próbkę
pyłu z jego skafandra, prawda? -**

spytał Serli.

**- Tak, są nienormalni. Miałeś czas
poczytać to, co ci dałem?**

- O, tak - odrzekł Serli.

- No, powiedzmy - dodała Mira.

- No to wiesz. On spada. Usiłuje wyhamować swoją... cóż... nazwijmy to prędkością. Próbuje zwolnić. Musiał się poślizgnąć albo potknąć. Zbliżamy się do chwili, w której stracił grunt pod nogami i zaczął spadać. Ale z jakiego powodu? Czyżby mu ktoś podstawił nogę? - Laban spojrział na Mirę i

Serliego, tym razem bardzo poważnie. - A gdyby to tak któreś z was spowodowało upadek Johna Delgano, jakbyście się czuli?

- Ooch - powiedziała Mira szybko, ze współczuciem. I dodała: - Och.

- To znaczy - spytał Serli - że ten, przez kogo on się przewrócił, spowodował to całe... spowodował...

- Całkiem możliwe - odparł Laban.

- Chwileczkę. - Serli zmarszczył brwi. - On upadł. Czyli że ktoś

**musiał się do tego przyczynić... to
znaczy John Delgano potknął się, czy
coś w tym rodzaju. Gdyby nie upadł,
cała przeszłość zostałaby zmieniona,
prawda? Nie byłoby wojny, nie
byłoby...**

**- Całkiem możliwe - powtórzył
Laban. - Bóg jeden wie. Ja wiem tylko,
że John Delgano i cała przestrzeń
wokół niego, ta najbardziej niepewny,
nieprawdopodobny obszar na Ziemi
o wysokim ładunku elektrycznym, i
niech**

**mnie wszyscy diabli, jeśli uważam, że
ktokwiek powinien wtykać tam palce.**

**- Hej, Laban! - powiedział do nich
z uśmiechem jeden z ludzi z**

**Alberty. - O naszą miotłę i komar się
nie potknie. To włókno szklane.**

**- Kurz z przyszłości - mruknął
Laban. - I co wam to da? Dowiedcie się**

najwyżej, że w przyszłości też jest kurz.

- Gdybyśmy tylko mogli zyskać choćby blade pojęcie o tym, co on trzyma w ręce.

- W ręce? - zdziwiła się Mira. Serb zaczął pospiesznie kartkować broszurkę.

- Nastawiliśmy na to analizator zapisu - powiedział człowiek z Alberty ścisząc głos i rozglądając się dookoła. - Spektroskop. Wiemy, że tam coś

jest albo było. Nie możemy dokonać dokładnego odczytu. To coś musi być poważnie uszkodzone.

- Ludzie ciągle go poszturchują, dotykają - burknął Laban. Lepiej...

- D z i e s i ę ć m i n u t ! - wykrzyknął mężczyzna przez głośnik. -

Prosimy zajmować miejsca, przyjaciele i goście.

Wierni z Kościoła Pokutnego szli z jednej strony szeregiem śpiewając stare pieśni "mi-seri-cordia, ora pronobis!"

Nagle dało się odczuć napięcie. W wielkim namiocie zrobiło się tłoczno i gorąco. Chłopak z biura burmistrza przecisnął się przez tłum zapraszając Labana i towarzyszące mu osoby, żeby zajęły miejsca gościnne w drugiej kondygnacji krzeseł od strony "frontowej". Przed nimi, przy poręczy, jeden

z duchownych Kościoła Pokutnego klócił się z człowiekiem z Alberty o miejsce zajęte przez aparat rejestrujący, jako że jego szczególna rola polegała na patrzeniu Johnowi w oczy.

- Czy on nas rzeczywiście widzi? - spytała Mira swego wuja. - Mrugnij oczami - odparł Laban. - Za każdym mrugnięciem nowa scena. Oto, co on

widzi. Fantasmogoria. Mig - mig - mig. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak długo.

- Mi-sere-re, pec-cavi - zawodzili pokutnicy. Jakiś sopran zarżał: -

Niechaj czerwień grzechu opuści nas!

- Oni wierzą, że jego wskaźnik tlenu się zaczerwienił z powodu stanu ich dusz - zachichotał Laban. -

Jeszcze przez jakiś czas ich dusze pozostaną potępione; John Delgano jest na rezerwie tlenowej od pięciu wieków - czy też raczej przez dalsze pięć wieków będzie gonił resztkami.

Licząc po pół sekundy rocznie jego czasu, ma razem piętnaście minut. Z podsłuchu wiemy, że oddycha mniej więcej normalnie, a rezerwa była przewidziana na dwadzieścia minut. To znaczy, że na zbawienie mogą liczyć około roku siedemsetnego, jak dożyją.

- P i ę ć m i n u t ! Proszę zajmować miejsca. Proszę siadać, żeby wszyscy widzieli. Siadajcie, ludzie.

- Tam piszą, że mamy go usłyszeć przez głośnik jego skafandra -

szeptał Serli. - Czy wiadomo, co on mówi?

- Przeważnie odbiera się dwudziestohercowe wycie - odparł szeptem

Laban. - Magnetofony zarejestrowały coś w rodzaju "óźń", część starego

słowa. Trzeba by setek lat, żeby było z czego sklecić całe.

- Czy to jakieś przesłanie?

- A któż to może wiedzieć? Może to w jego języku miało być "późno" czy "za późno". Kto wie. To może być wszystko.

W namiocie robiło się coraz ciszej. Tłusty dzieciak przy poręczu

zaczął płakać, więc go szybko wzięto na kolana. Słysząc było szmer modlitwy. Wyznawcy sekty Świętej Radości po drugiej stronie szeleścili kwiatami.

- A dlaczego nie nastawimy według niego zegarka? - To się zmienia. On żyje według czasu gwiazdowego. - Jedna minuta.

W ciszy, jaka zapadła, modlitewne szepty wydały się trochę głośniejsze. Gdzieś na zewnątrz zagdakała kura. Gołe miejsce pośrodku wyglądało zwyczajnie. Ponad nim srebrzyste nici przewodów wibrowały lekko

w oddechu setki płuc. Słysząc było ciche tykanie jakiegoś aparatu pomiarowego.

Przez długie sekundy nie działo się nic.

**W pewnym momencie dało się
słyszeć delikatne brzęczenie.**

Jednocześnie

**Mira dostrzegła z lewej strony przy
barierce jakiś ruch.**

**Brzęczenie nabrało rytmu,
przeszło w dziwną ciszę i nagle wszystko
zaczęło dziać się naraz.**

**Dźwięk eksplodował wokół nich
potężniejąc w szokującym tempie aż do
słyszalnego natężenia. Rozległy się
trzaski, podczas gdy coś się w
przestrzeni przewalało i kołysało.**

Zgrzyt, zawodzący ryk i...

Oto on.

**Z krwi i kości, wielki - wielki
człowiek w przypominającym potwora
skafandrze, z głową jak matowa
przezroczysta brązowa kula, z ludzką
twarzą**

**w środku i ciemną smugą otwartych
ust. Był w bardzo dziwnej pozycji - nogi**

wyrzucone do przodu, cała postać odchyłona do tyłu, ręce zastygłe w zamachu jak ramiona wiatraka. I choć pozornie cały był sprężony w energicznym parciu naprzód, to jednak trwał w całkowitym bezruchu, z jedną

tylko nogą lekko ugiętą i odchyłoną.

I nagle - postać znikła, dokładnie i całkowicie, wśród grzmotu, pozostawiając po sobie jedynie niewiarygodny powidok w setkach par wpatrzonych oczu. Powietrze zadrżało od huku, w górę wzbił się obłok kurzu

pomieszanego z dymem.

- O Boże - jęknęła Mira ledwie słyszalnie, tuląc się do Serliego.

Ludzie krzyczeli i się krztusili.

-Widział mnie, widział! - wrzeszczała jakaś kobieta. Kilka osób w

oszołomieniu rzucało konfetti w pustą chmurę kurzu; większość w ogóle nie

zdołała rzucić. Dzieci zaczęły się drzeć: Widział mnie! - histeryzowała kobieta.

- Czerwień, o Boże, miej litość nad nami - zaintonował głęboki męski głos.

Mira słyszała, jak Laban wściekle przeklina, i znów spojrzała w to miejsce. Kiedy kurz osiadł, zauważyła, że trójnóg magnetofonu przewrócił

się w sam środek; wsparty o niego widniał zakurzony kopczyk - sterta kwiatów. Prawie całe zakończenie trójnogu znikło czy może się stopiło. Z przewodów nie zostało śladu.

- Jakiś cholerny idiota rzucił w to kwiatami. No, chodźcie, idziemy.

- Czy on się o to potknął? - spytała Mira, ściśnięta w tłumie. - Ten

jego wskaźnik tlenu był w dalszym ciągu czerwony powiedział Serli ponad jej głową. - Nie ma zmiłowania...

- Szszsz! - Mira pochwyciła ponure spojrzenie pastora pokutników.

Przecisnęli się do bramy i wyszli do zalanego słońcem parku, wśród wrzawy krzyków, gadając głośno w nastroju podniecenia i ulgi.

- To było straszne - wykrzyknęła cicho Mira. - Nigdy nie

przypuszczałam, że to prawdziwy, żywy człowiek. On jest, jest tam.

Dlaczego nie możemy mu pomóc? Czy to przez nas on się potknął?

- Nie wiem, nie sędzę - mruknął wuj Laban. Usiedli koło nowego pomnika

wachlując się. Był w dalszym ciągu nie odsłonięty.

- Czyśmy zmienili przeszłość? - roześmiał się Serli i rozmiłowaniem

wzrokiem objął swoją małą żonkę.
Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego
ona nosi takie dziwne kolczyki. Nagle
przypomniawszy sobie, że sam je
ofiarował Mirze, kiedy przejeżdżali
przez indiańską wioskę.

- Ale to przecież nie z powodu tych
ludzi z Alberty. - Mira myślała o
tym obsesyjnie. - To przez te kwiaty.
- Otarła czoło.

- Mechanika albo przesąd -
zachichotał Serli. - Kto zawinił: miłość
czy nauka?

- Szszsz - Mira rozejrzała się
nerwowo dokoła. - Kwiaty to chyba
miłość... Tak się jakoś dziwnie czuje.
Tu jest strasznie gorąco. Och,
dziękuje... - Wujowi Labanowi udało
się przyzwać sprzedawcę napojów
chłodzących.

Ludzie gwarzyli sobie teraz
swobodnie, zaś chór wybuchnął wesołą

pioosenką. Po jednej stronie parku stali w kolejce ludzie, żeby się wpisać do księgi pamiątkowej. W bramie pojawił się burmistrz prowadząc wysadzaną

bougainville'ami aleją delegacje na uroczystość odsłonięcia pomnika.

- Co tam jest napisane na tym kamieniu koło jego nogi? - zapytała

Mira. Serli pokazał jej zdjęcie kamienia Carla w przewodniku z przetłumaczonym napisem: "Witaj w domu, John".

- Ciekawe, czy on to widzi.

Burmistrz właśnie rozpoczynał swoje przemówienie. Znacznie później, kiedy się ludzie rozeszli, pomnik, samotny w ciemności, ukazywał księżycowi napis w języku tamtych czasów i okolic:

W tym miejscu pojawia się co roku postać Majora Johna Delgano,

**pierwszego i jedyne go człowieka,
który podróżuje w czasie.**

**Major Delgano został wystany w
przyszłość na kilka godzin przed**

**katakлизmem Dnia Zero. Wszelkie
informacje dotyczące sposobu jego**

**poruszania się w czasie przepadły,
być może na zawsze. Istnieje**

**przypuszczenie, że nastąpił wypadek,
wskutek którego major znalazł się w**

**przyszłości znacznie dalszej, niż to
było zamierzone. Niektórzy badacze**

**twierdzą, że przeniósł się o jakieś
pięćdziesiąt tysięcy lat w przód.**

**Kiedy major Delgano osiągnął ten
nieznany punkt przyszłości,**

**prawdopodobnie odwołano go czy też
usiłował wrócić tą drogą w przestrzeni**

i czasie, którą się tam dostał.

Przyjęto, że tor, po jakim się poruszał,

**zaczyna się w miejscu, w którym
nasz system słoneczny znajdzie się w**

**przyszłości, i jest styczny do
skomplikowanej spirali, zakreślonej
przez**

naszą Ziemię wokół słońca.

**Major pojawia się w tym miejscu
co roku, kiedy jego trasa przecina
orbita naszej planety, i wygląda na
to, że w tych właśnie chwilach jest w
stanie dotknąć ziemi. , Ponieważ nie
widać żadnych śladów jego podróży w
przyszłość, przyjęto, że wraca w inny
sposób. Żyje w naszej
teraźniejszości. Nasza przeszłość jest
jego przyszłością, a nasza
przyszłość jego przeszłością. Czas
jego pojawień przesuwają się stopniowo w
czasie słonecznym dążąc do
momentu 1153.6 drugiego maja 1989
roku Starego**

Stylu albo do Dnia Zero.

**Eksplozja towarzysząca powrotowi
Johna Delgano w jego własny czas i**

miejsce mogła się wydarzyć, kiedy pewne elementy przeszłości jego podróży trafiły wraz z nim w swoje własne miejsce w przeszłości. Jest pewne, że ta eksplozja przyspieszyła kataklizm światowy, który na zawsze położył kres erze nauk ścisłych.

**Spadał, tracił panowanie,
przegrywał w walce ze straszliwym
rozpadem,**

**którego nabrał, zmagał się jego
ludzkie nogi drżały wewnątrz nieudzka
sztywnej zbroi - stopy zwęglone, nie
znajdowały już oporu, nie było**

tarcia, żeby mógł zahamować, miotał się, rzucał w każdym przeblysku, w morderczej przemienności - światło, mrok, światło, mrok - którą znosił od tak dawna, łomot powietrza o zbroje to się wzmagał, to słabł, kiedy szedł ślizgiem w przestrzeni, która była czasem, hamując rozpaczliwie, kiedy ziemia w przeblyskach waliła go w stopy - tylko stopy się teraz liczyły, tylko to, żeby zwolnić i pozostać na kursie - bo przyciąganie, bo promień przewodni był coraz słabszy; w miara jak zbliżał się do domu, rozmywał się

coraz bardziej, rozpraszał; a on, John Delgano, stawał się, jak sądził, coraz bardziej prawdopodobny; rana, której się nabawił w czasie, goiła się

stopniowo. Początkowo był taki silny - pojedynczy promień w tunelu -

**rzucił się za nim jak elektron dążący
ku anodzie, skierowany pewnie wzdłuż
tego doskonale złożonego
pojedynczego wektora, jakim jest
możliwość życia;**

**wystrzelony i wystrzeliwany jak
pestka w ostatnią szczelinę tego
odpychającego i odpychanego
nigdzie, w którym on, John Delgano,
mógł dalej**

**w sposób wyobrażalny istnieć, w
otwór wiodący do domu - a więc on,
John**

**Delgano, walił naprzód poprzez czas
i przestrzeń przebierając swoimi
ludzkimi nogami, ilekroć realna
ziemia tego nierealnego czasu znalazła
się**

**pod nim; zmierzał tak pewnie, jak
zwierze do swojej nory, on, mysz**

**kosmiczna, w międzygwiazdnym,
międzyczasowym wyścigu do gniazda,
osaczony**

**przez niesłuszność w swoim jedynie
słusznym dążeniu - każdy atom jego
serca, jego krwi, każda jego
komórka woła: do domu, DO DOMU! -
a on gna za**

**tym umykającym oddechem-
otworem, coraz szybszy, pewniejszy,
silniejszy, aż**

**wreszcie pędził, niezwyknięty, po
migających jak w kalejdoskopie
przebłyskach ziemi, jakby
balansował na kłodzie w rwącej, kipieli
wodnej!**

**Od przebłysku do przebłysku stałe,
niezmienne otaczały go tylko gwiazdy;
patrzył w dół, koło swoich stóp, na
milion błysków konstelacji Krzyża i
Trójkąta; osiągnąwszy punkt
szczytowy swojej wędrówki spojrział sto
lat w**

**góra i tam zobaczył Niedźwiedzice
niesamowitym sznurem połączone z
Gwiazdą**

**Polarną, która jednak nie wypadła
już nad biegunem, jak stwierdził
wracając spojrzeniem do swoich
pędzących stóp i myśląc: idę do domu,
do**

**Gwiazdy Polarnej, do domu! w rytm
nieustannych błysków. Nie pamiętał już
miejsc, w których był, stworzeń,
ludzi czy obcych istot, czy rzeczy, które
przesunęły się przed jego oczyma w
tej niemożliwej chwili bycia tam, gdzie
być nie mógł; przestał widzieć
migawki światów dokoła, każdy świat
inny,**

**plątanina ciał, ścian, krajobrazów,
kształtów i kolorów nie do
rozdzielenia- jedne ulotne jak
tchnienie, inne zmienne - mizmasz -
twarze, kończyny, przedmioty
potrącają go; noce, przez które
przebrnął,**

**ciemne albo oświetlone
przedziwnymi lampami; dni rozprażone
słońcem,**

**zawieruchy, burze piaskowe, śniegi,
niezliczone wnętrza, rozbłysk po**

**rozbłysku i noc; teraz był znów w
świetle dnia, w jakiejś sali; wreszcie**

**się zbliżam, pomyślał, odczucia się
zmieniają - ale musi zwolnić,**

**przyhamować; i ten kamień koło
jego stóp jest tam już od jakiegoś czasu,**

**chciał spojrzeć w te strona, ale nie
śmiał, tak był zmęczony, ślizgał się**

**teraz, tracił równowaga, walczył z
morderczą prędkością, która nie**

**pozwalala mu zwolnić; a do tego
jeszcze był obolały, coś go uderzyło,**

**wtedy wcześniej coś mu zrobili, nie
wiedział co - gdzieś, kiedyś w**

**kalejdoskopie twarzy, rąk, ciosów,
promieni - całe stulecia istot, które**

**usiłowały go dosięgnąć, no i ten tlen,
który się kończy, drobiazg,**

starczy, musi starczyć, wraca do domu, do domu! Ale zapomniał już teraz przesłanie, które chciał wykrzyczeć w nadziei, że go jakoś usłyszą, ważną rzecz, którą powtarzał; a i to, co miał ze sobą, też stracił, tak samo jak kamera - coś mu ją wyrwało - ale przecież wraca do domu! Do domu!

Gdyby

tylko mógł wytracić ten impet, utrzymać się na zanikającym kursie, gdyby

mógł się jakoś przemknąć, doczołgać, prześlizgnąć, dojechać na grzbiecie tej lawiny do domu, do domu! - z jego gardła wyszło słowo dom, słowo Kate,

Kate! Jego serce krzyczało, już prawie bez płuc, a nogi walczyły, walczyły

i nie mogły podolać, stopy to się ślizgały, to hamowały na przemian, to

**znajdowały oparcie, to znów
zjeżdżały, podczas gdy on się zapadał i
parł,**

**i zmagał się z szaleństwem
zawieruchy czasowej w przestrzeni i w
czasie na**

**końcu najdłuższej drogi, jaka
kiedykolwiek istniała: drogi Johna
Delgano**

powracającego do domu.

**Przełożyła Zofia Uhrynowska-
Hanasz**